

## SamoDzielna Marionetka

Huk. Strzała z impulsem elektrycznym na grocie musnęła moje udo, przypalając je do czerwoności. Stoję, próbując określić położenie napastnika. W głowie mi szumi, a noga powoli drętwieje. Tylko chwila, to zaraz przejdzie. Rana, jak powstała, tak zasklepia się, prawie niezauważalnie. Został mi jeden *heko*, a przeciwników dwóch. Na dodatek dalej nie znam ich położenia. Tylko bez paniki. Przechodziłam to już wielokrotnie.

- Tym razem mi się uda – mówię, by po chwili wykrzyknąć – Słyszysz, Dziewięć?! Dorwę cię! Tym razem dam radę!

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jaką głupotę zrobiłam (zresztą niepotrzebnie) i jakie przyniosła skutki. Ledwo dosłyszalny szelest i topór z trucizną z owocu jagożyny przeleciał obok mnie. Zadraśnięte ucho od razu czerwienieje. Wycieka z niego ropa i pojawiają się odrętwienie i bąble. Ale żyję. I za to, jak zawsze, jestem wdzięczna. I też najbardziej się nienawidzę – za to, że jestem w stanie czuć wdzięczność do ludzi, którzy tak naprawdę nie mają tego, co tu się dzieje, pod kontrolą. Ludzi, którzy potajemnie obradują i przeprowadzają zebrania, o których wie tylko Kongres Magów, do których z kolei należą ja. Zresztą tylko Naznaczeni – ludzie należący do Kongresu Magów – wiedzą, że istnieje magia i że coś takiego się tu dzieje. Cały czas zwody, cały czas kłamstwo zgrabnie ubrane w płaszcz prawdy. Cały czas manipulacja. Czasami nawet nie wiem, co jest moją myślą, a co tym, co mi wgrali w mózg. Ale spokojnie. Wdech. Wydech. Chyba za to szanuję to miejsce. Mimo że co tydzień leją się tu ze mnie hektolitry potu, a na każdej części ciała mam siniaki i rany. Mimo że wszędzie pełno jest krwi wymieszanej z brudem i strachem. Doceniam to miejsce, bo jestem tu sama. Bo nie jestem tu marionetką. I to jedyne miejsce, gdzie ci ważniacy nie mają nade mną kontroli. Nie mogą mi tu zagrozić tym, że jak tylko wyjdę na ulicę bez wcześniejszego poddania się ćwiczeniom, choćby nieumyślnie kogoś zabiję moją magią. To jedyne miejsce, gdzie męczę się fizycznie, a zmęczenie jest przyjemne. Za każdym razem, gdy tu wchodzę, czuję dreszczyk emocji. Czuję, że tu jestem sobą. A nie robotem, którym jestem w moim „prawdziwym” życiu. Zamykam oczy. Wiem, że to zła decyzja, bo Dziewiątka zaraz znów zaatakuje, a ja się nie zorientuję w porę. Muszę jednak odpocząć.

Jednocześnie uwielbiam to miejsce, ale i nienawidzę. Bo to wszystko tylko pozory. Tak naprawdę mają nade mną tutaj jeszcze większą kontrolę. Ale tu tego nie odczuwam. I taka jest różnica. Oddycham powoli, relaksuję ciało, kołyszę się na boki. Uwalniam magię. Zaraz się zacznie jatka. A do tego jestem stworzona.

\*\*\*

Choć moja mina, którą co lekcję na wykładzie profesora Moxa przybieram, jest dość sugerująca podejście, jakim obdarzam te lekcje, a odpowiedzi wypowiedane przeze mnie lakoniczne, nauczycielowi można przyznać jedną zasługę: coś z jego lekcji wyniosłam. A mianowicie sfatygowany, pożółkły podręcznik. Zostały na niego przelane jakże cenne rady Van Maga, założyciela tego kółka wzajemnej adoracji zwanego Kongresem Magów. Gdzieś w 1864 lub 1764 roku (albo to ja nie przykładam specjalnie wagi do liczb, albo one po prostu nie lubią się trzymać mojej głowy) wytworzył w swoim laboratorium, a potem wszczepił do swojego DNA nowy aminokwas, imaginolanopinę, który pozwalał mu kontrolować magię i przenosić się do innego wymiaru, by poćwiczyć nowo nabyte umiejętności. Z czasem tak wprawnie posługiwał się magią, że zaprogramował wymiar, do którego się przenosił. W końcu stał się on niejako jedynie miejscem jego praktyk. Najpierw jego, a potem pokoleń. Choć każdy w trzech rodzinach, które rozchodzą się, począwszy od Van Maga, posiada w swoim DNA ten aminokwas, nie u każdego jest on „aktywowany”. Zazwyczaj aktywacja aminokwasu ujawnia się około 17 roku życia, co 2 lub 3 pokolenia. Był tylko jeden przypadek (choć w sumie to trzy) gdy aminokwas „uaktywnił” się z pokolenia na pokolenie. Oczywiście tam, gdzie wszystko się zaczęło, czyli u Van Maga i jego trójki dzieci.

W informacji te wyposażył mnie właśnie mój podręcznik, który nie raz wyciągnął mnie z opresji. Van Mag wielokrotnie zaznaczał w nim również:

*Hek zawsze dostaje się 5. Przeciwników do pokonania jest oczywiście dwa razy więcej. Spokojnie więc, jeśli zostanie Ci jeden heko, a dwóch przeciwników – będziesz w tej samej sytuacji.*

Pocieszny Mox jak zwykle chciał mnie przetestować z teorii, mimo że nie powinien. O dzięki ci wielkie! Jak on to robi? Zawsze wie, jak podbudować moją samoocenę. Na marginesach robiłam wtedy notatki:

*Heko – w skali 1-5, im mniej hek, tym mniej możliwości poważnego skaleczenia (strzała-impuls, strzała-ogień, przebicie mięśnia/kości, złamanie, „poważne” obicie itp.).*

Może i niezbyt zgrabnie, ale coś jest, no nie? Dokładniej mówiąc – heko to taki a'la czar, a tak naprawdę bariera, która została mi wgrana, gdy lekarz tej sekty pobierał mi krew do urządzenia, dzięki któremu mogę przenosić się do innego wymiaru. Hek, czyli tych barier, zawsze zaraz po przejściu jest 5, a z każdym poważniejszym zranieniem, na przykład, gdy strzała ognista przesyje ci nogę, jeden heko znika. Kiedy mam zero hek, umieram i przenoszę się do normalnego świata. Wtedy kończą się ćwiczenia i do końca tygodnia mogę żyć stosunkowo normalnie.

Aby przejść do innego wymiaru, trzeba używać urządzenia zwanego dimensionograph. Wkładam do otworu palec, igła wkuwa się w niego, pobierając moją krew. Korbki się obracają, a ja przenoszę się na zielony korytarz. Na ścianach wiszą bronie, a naprzeciwko mnie są mosiężne, mahoniowe drzwi. Podchodzę do nich. Nie ma tam ani kołatki, ani judasza, nie ma też zamka. Nie potrzeba, bo drzwi chronione są magią – zawsze się zastanawiałam po co; przecież dotrzeć na korytarz mogą tylko Naznaczeni... Tak czy siak pociągam za wielką pozłacaną klamkę. Mimo że jak na 19-latkę nie jestem niska, by dosięgnąć klamki, muszę stanąć na palcach. Ciągnę, a drzwi z głośnym skrzypnięciem otwierają się na całą szerokość. Wchodzę, czując przyjemny dreszczyk. I tak oto jestem w drugim wymiarze. Jaki jest mój cel? Pokonać wszystkie Roboty. Żeby Kongres Magów i moja matka wreszcie zobaczyli, że na coś mnie stać. I że nie jestem bezwartościową marionetką, którą, jak się znudzi, wyrzucą w ką. Jej Wysokość Marionetka... Ja wolę być samowystarczalna. Samodzielna. Dzielna w szczególności.

\*\*\*

Wszystko dzieje się w przeciągu paru sekund, więc ledwo nadążam za galopującymi już myślami. Znowu podpowiadają mi, żeby się wycofać na drzewo, ale moja duma została by dogłębnie i permanentnie urażona. Mój wzrok pada w tej chwili na Dziewiątkę, którą wreszcie zauważam. Jakie to szczęście, że Roboty też popełniają błędy. Patrzę na niego pogardliwym wzrokiem, mówiącym: „Jesteś równie fascynujący co poranne zakładanie skarpetek lub obserwowanie gotującego się makaronu”. W mojej głowie rady przelane na papier podręcznika odbywają walkę o pierwszeństwo w umyśle. W końcu, gdy podejmuję decyzję, jest już za późno. Znowu ta sama sztuczka. Potocznie zwana „końcem świata”. Znowu...

Bomba leci, leci, leci, spada. Kolejna maska. Kolejna sztuczka. Kolejny zwód. Bo zaraz będzie huk. Na szczęście raz już to przechodziłam, więc gdy tylko zauważam, że bomba zaczyna opadać, podrywam się do biegu. Natychmiast aktywuje się moja magia. Nie musi. Samo przejście do innego wymiaru wystarcza, by niekontrolowanie nie wyrządzić potem komuś krzywdy. Tworzę jednak wokół siebie błonkę, tak cieką, że gdybym jej dotknęła, natychmiast by się przebiła. Otwiera ona jednak szerzej moje oczy, więc widzę lepiej. Po prostu mnie wspomaga. Biegnę szybciej, skaczę dalej i wyżej. Ale nie teraz. Teraz szukam kryjówki. Jestem tak szybka, że zanim bomba spada, ja już wskakuję pod przewrócone drzewo. Zaraz się zacznie. I jednocześnie skończy. Bomba uderza o ziemię, wyrzucając w górę liście, co powoduje ledwo dosłyszalny szelest. Ułamek sekundy. Rozlega się wszędzie. Huk, grzmot, hałas. Nawet nie wiem, jak to nazwać. Czuję w uszach niewyobrażalny ból, jakbym miała zaraz ogłuchnąć. Wiem, że to tylko kolejna sztuczka, żebym umierała tu ze strachu, sparaliżowana. Siedzę mimo to dalej w kryjówce.

Trzy.

Dwa.

Jeden.

Teraz.

Chwila, coś poszło nie tak. Miałam przenieść się do normalnego świata... ale.... Drzewo, niegdyś będące moją kryjówką pęka z trzaskiem. Zaciskam pięści i nie patrząc pod nogi, biegnę, ile sił. Nagle potykam się o gruby konar. Wstaję i pędzę dalej. Coś łapie mnie za kark. Magia bomby. Ona też ma swoją i z chęcią jej używa. Zaczyna mnie zgniatać. Centymetr po centymetrze. Niespodziewanie puszcza. Przewracam się na kupkę liści. Wtedy wszystko staje w płomieniach. Moja skóra parzy. Znikam. O, normalności, witaj!

Znów przenoszę się na zielony korytarz. Idę przed siebie, zostawiając za sobą smugi spalonego włókna węglowego, z którego wykonane są moje ubrania. Nie zawracam, nie patrzę za siebie. Idę do przodu, a chwilę później wskakuję do dziury w kształcie klucza, wybitej w podłodze. Chwilę lecę, a następnie pojawia się tu, w normalnym świecie, brudna, spalona, ale uśmiechnięta. Wesoły grymas zaraz jednak schodzi z mojej twarzy, nie pozostawiając za sobą wspomnień. Moja matka. Stoi, jak zawsze lekko rozkraczona, jakby stała na jakiejś chyboczącej się kołysce. Patrzy na mnie niechętnie, a ja odwzajemniam spojrzenie. Chwilę prowadzimy wojnę na wzrok, ale ja jak zwykle wygrywam. Przewraca oczami. Uśmiecham się moim uśmiechem numer 5, przeznaczonym specjalnie dla przegrywów. Zakładam kurtkę i wychodzę z sali. Przeskakuję po trzy schodki, a w końcu znajduję się na trzynastym piętrze, gdzie mieszkam. Wchodzę pod prysznic, następnie ubrana w piżamę wskakuję pod kołdrę i natychmiast zasypiam. Słyszę jeszcze tylko urywany, zdyszany oddech matki i już śpię.

\*\*\*

„Leah, daj spokój, to tylko czary”. „Leah, nie marudź! Wiesz, ile osób chciałoby mieć tak jak ty?”. „Co ty znowu chcesz? Masz wszystko, czego potrzebujesz!”. „Leah, jesteś okropna. Rozczarowujesz mnie. Ciągle i non-stop. A wiesz, dlaczego? Bo masz już, droga panno, 19 lat, a zachowujesz się jak dziesięcioletka, której kazano położyć się o 20:00 spać, choć myśli, że jest dorosła. Przystaniesz wreszcie? Ha! Bo ty jesteś dorosła! Wielkie mi coś! Ja też, a przez te twoje czary-mary siedzę tu jak w więzieniu, wszyscy wkoło mi mówią, co mam robić. Bez tego upierdliwego Krążka miałabym teraz kasę, fuchę, dom! Masz wszystko, co mogłabyś sobie wymarzyć. Masz magię. To dar. Ale ty jak zwykle nie umiesz go docenić!”. „Jak śmiesz mówić, że jesteś zmęczona?! Ty? Siedzisz w tych swoich magicznych światach, zachowujesz się jak jakiś wybredny bachor, masz wszystko. Leżysz do góry brzuchem, myśląc, że wszyscy będą na twoje skinienie, bo masz magię. Ty jesteś zmęczona?! Wyjdź

i nie osłabiaj mnie. Mam cię serdecznie dość. Nie patrz mi w oczy, dopóki nie zrozumiesz, że mimo magii zawsze będziesz nikim!”. „Bez magii byłabyś zerem, skończ marudzić, bo będziesz miała, moja droga, przechlapane! 19 lat cię wychowywałam, karmiłam, ubierałam. I co? Zero, nic, żadnej wdzięczności! Ciągłe tylko fochy i narzekanie!” Moja matka nigdy nie skończy jazgotać. Nauczyłam się więc po prostu wyłączać, gdy u niej uruchamiał się tryb „karabin maszynowy”. Możecie sobie myśleć, jak to mi źle i niedobrze albo odwrotnie – jak to się nad sobą rozczulam. Myślcie sobie, co chcecie. Jestem uodporniona. Dzięki przekleństwu magii, śmierci i matce. To jedna z niewielu rzeczy, które im zawdzięczam. Ale matka jest po prostu zazdrosna, że to ja dostałam magię, a nie ona. I jest w żałobie po tacie, którego nigdy nie spotkałam. To znaczy widziałam go parę razy, gdy byłam bardzo mała, ale potem tata umarł na gruźlicę. Pamiętam, że na koniec powiedział do nas „Kocham”, ale nie dokończył. Zmrużył oczy i zasnął. I nigdy się nie obudził. Choć ja do 10 roku życia wierzyłam, że kiedyś wstanie. Najpierw byłam na niego obrażona, że mnie zostawił. Płakałam. Codziennie. Co tydzień przychodziłam na cmentarz. Kochałam go. Dalej go kocham i mam wyrzuty sumienia. Że już zapomniałam jego głos. Ponoć małe dzieci zapamiętują najważniejsze chwile ich życia. I co? A na dodatek ta głupia magia. I zazdrosna matka. Gdybym mogła, najchętniej bym jej tę magię oddała. A niech się nią udławi.

\*\*\*

Rutyna mnie zabija. Rutyna mnie poniża, niszczy moją kreatywność i logiczne myślenie. Moje marzenia gniją wraz z serem pod poduszką, który codziennie, mozolnie i uparcie przynoszą mi służący, choć powtarzałam im już miliony razy – nienawidzę sera równie mocno jak rutyny. A jedno i drugie jest mi podawane na tacy dosłownie codziennie. Co rano robię to samo – wstaję, myję twarz i zęby, chowam ser, wypijam dzbanek mleka, zagryzając go rutynową bułką z warzywami i białkiem mającym dodać mi sił. Potem ubieram się, również rutynowo. Zakładam przylegające czarne legginsy. Potem golf, również w kolorze smoły, a na koniec kombinezon. Ma to zapewnić mi ochronę, ale i tak po przejściu do drugiego wymiaru od razu zdejmuję połowę garderoby ze względu na ukrop panujący w tamtych lasach. Zresztą większość broni Robotów i tak te ubrania przebija. Mam siedem par takich strojów, każdy w innym kolorze. Uwielbiam kolory! A wszyscy cały czas są tacy szarzy...

Oczywiście do drugiego wymiaru przechodzę tylko<sup>1</sup> raz na tydzień – w poniedziałki. W pozostałe dni uczęszczam do normalnej szkoły, przy Dreamon Street. Jednak tam, z samego lenistwa i wygody, noszę ten sam strój. Już jutro poniedziałek. Wbrew temu, co można by pomyśleć, nie siedzę i nie rozmyślam nad zbliżającym się dniem. Wręcz przeciwnie.

---

<sup>1</sup> Tu chcę sprostować – wszyscy mi wmawiają, że to TYLKO raz na tydzień, ale ja wiem swoje. W tej kwestii nikt mi nie poprzewraca w głowie – to jest AŻ raz w tygodniu.

Staram się zachowywać, jakby nic się nie działo. Czasem tylko podniosę z ziemi długopis bez używania rąk albo nagle praca domowa odrobi się sama, nie wiadomo kiedy. Na sprawdzianie zrobiłam tak tylko raz. Przysięgam na wszystko, co żyje. Tylko raz. Na fizyce. Nic na to nie poradzę. To jedyny przedmiot, na którym mam wrażenie, że mnożenie temperatury w kilogramach z czasem podanym w metrach daje masę motyla i obwód ziemi w stopniach Celsjusza...

\*\*\*

- Gotowa? – pyta lekarz tego satanistycznego Kongresu.

- A jeśli nie? – odpowiadam pytaniem na pytanie. Medyk marszczy brwi. Mimowolnie moją twarz wykrzywia coś na kształt uśmiechu numer 3 – przeznaczonego specjalnie dla lekarzy, którzy właśnie stracili we mnie wiarę. Wiem, że nasz specjalista jest starym gburem, nie lubiącym sarkazmu, ironii, żartów i odpowiadania... pytaniem na pytanie. No cóż. Czasem trzeba się trochę podroczyć. Życie bez tego byłoby nudne jak mężczyzna przede mną. A tego nie zniósłby nawet ukoronowany optymistyczną odznaką optymistą. W końcu jednak znów przybieram na twarz maskę niewzruszonej niczym strażniczki skarbu, która patrzy na ciebie tak, jakby chciała wydłubać ci oczy.

- Skoro zna pan odpowiedź, to po co pan pyta? Oczywiście, że tak, jak zawsze zresztą. – zwracam się do niego. A niech ma chłop, tyle pracuje i nic mu z tego. Choć jedna osoba mu normalnie odpowie. Lekarz patrzy na mnie jak na pomyje, które ma posprzątać, bierze mój palec, ledwo nie wrywając mi przy tym ręki, a następnie wkłada go do otworu w dimensionographie. Ja mu jeszcze pokażę. Jak wygram, będzie przez tydzień zbierał szczękę z podłogi. Czuję ukłucie, igła wbija mi się w palec. Pobiera krew, korbki się obracają.

- Mam nadzieję, że pani Miracleboom dobrze wymyśla podłogę – mówię do niego, a on patrzy się na mnie zdezorientowany. Patrzę mu prosto w oczy. Chwilę się siłujemy na spojrzenia. – Ja bym nie chciała trzymać w buzi czegoś, co najpierw wylądowało na podłodze. Niech się pan na to jednak przygotuje – rzucam i przenoszę się znów na mój ukochany zielony korytarz. Chciałabym zobaczyć jego zdezorientowaną twarz. No nic. Przechodzę przez mosiężne wrota. Dzisiaj czas na SamoDzielną Marionetkę. Dzisiaj mam zamiar wygrać.

\*\*\*

Kucam na najniższej gałęzi drzewa, igły kłują mnie w ucho z blizną. Na plecach czuję przyjemny ciężar kołczanu, który zdjęłam ze ściany w korytarzu. Przy nosie trzymam palce, do białości zaciskające się na cięciwie. Strzałę wycelowałam w Siódemkę, Robota, który zawsze ma przy sobie trzydzieści sztyletów i noży. Każdy Robot się czymś wyróżnia. Gość przede

mną jest kimś na kształt nożownika. Jedno ostrze trzyma ponoć nawet w ustach, ale to tylko pogłoski.

Choć Roboty wyglądają jak zwykli ludzie, to maszyny, jak sama nazwa wskazuje. Są jednak tak stworzeni, że też można ich zranić, a chociaż nie czują bólu, każda rana to dla nich ograniczenie. Ich organizm działa na podobnej zasadzie co ludzki – też w nim płynie krew; żyły i tętnice, mięśnie i kości – wszystko jest ułożone tak samo jak u ludzi. Naciągam cięciwę jeszcze o milimetr i puszczam. Siódemka, słysząc szepty strzały, obraca się, a grot gładko wbija mu się w *arteria carotis communis*. Coś jednak z lekcji biologii się wyniosło. Oczywiście w tętnicy płynie krew pod bardzo wysokim ciśnieniem. Czerwony płyn wytryska z naczynia jak brunatna fontanna, uśmiercając go na miejscu. Na dłoniach mam krew. Jestem mordercą. Na taką osobę mnie wychowano. Zostało mi do pokonania jeszcze tylko trzech.

Muszę jednak szczególnie uważać, bo Ósemce nadałam ksywkę „Kocica” nie bez powodu. Jest szybka jak gepard, ma słuch lwa i wzrok lamparta. Za jej prędkość pani Pimpleplum – moja nauczycielka WF-u, skoczyłaby w ogień. Szanowna nauczycielka wychowania fizycznego i Ósemka mają jednak parę wspólnych cech. Z obiema mam na pieńku, obie chcą mnie pogrzebać i obie trzeba omijać szerokim łukiem. A żeby je pokonać, trzeba zrobić to na okrężkę. Trzeba być mądrzejszym i sprytniejszym. A przy pani Pimpleplum trzeba mieć jeszcze zatyczki do uszu, by w wypadku porażki nie ogłuchnąć. Zębatki tym razem kręcą się więc w mojej głowie. Ósemka liczy na to, że będę przed nią uciekać, co równałoby się z poddaniem. A skoro nie mogę być tak szybka jak ona, będę od niej szybsza. Wejdę o krok na przód. Prosto w jej strefę komfortu.

Poruszam gałązką obok mnie, szumiąc liśćmi. Kocica natychmiastowo odwraca się w moją stronę. Nie patrzy w górę, ale jednym skokiem jest tuż przy drzewie. Na to liczyłam. Po cichu zrywam inną gałązkę i rzucam nią w drzewo naprzeciwko. Robot odwraca się i z kpiącym uśmiechem robi krok na przód. Dziwi mnie, że to się udało – że nie słyszała, gdy urwałam gałązkę. Może myślała, że to ona na jakąś stanęła... Mimo wszystko wtedy ja korzystam z sytuacji, zeskakuję z drzewa, o mało nie skręcając kostki (ach, ta gracia otyłego kurczaka), wyciągam zza pasa nóż i wbijam jej w plecy, zanim się obraca. Robi to i tak, ale jest już za późno. Patrzy na mnie martwym wzrokiem. Prawie jest mi przykro. Prawie, bo zostałam wychowana na mordercę Robotów. No cóż. Ostatnim, nieobecnym ruchem ręki wyrzuca w górę ściskany wcześniej sztylet. Dalej jest szybka, więc obrywam głównią w ramię. Ostrze odbija się ode mnie, raniąc mnie w policzek. Podnoszę je z ziemi i chowam za pas. Jeszcze tylko Dziewiątka i Dziesiątka. Ruszam przed siebie. Idąc, napotykam jagody Bruke’a, bardzo podobne do śmiertelnie trujących jagożyn. Jagody są jadalne, zrywam więc garść, siadam na poźółklej od słońca trawie i zajadam się owocami.

\*\*\*

Musiało mi się przysnąć, co było bardzo nieodpowiedzialną rzeczą. Karzę się za to w myślach i wstaję. Wydaję głuchy jęk, gdy stoję na lewej nodze. Patrzę w dół. Na kostce pojawił mi się obrzęk. Siadam z powrotem na ziemi i ściągam but. Choć nie jest skręcona, obitałam ją sobie, a pod wpływem adrenaliny musiałam tego nie zauważyć. Jak mam pokonać dwójkę najpotężniejszych Robotów z obrzękiem na bolącej nodze?! Zbieram się w sobie i próbuję wstać. Przez moje ciało przebiega impuls, ale stoję. Jednak magia. Wytwarzam sobie wokół kostki otoczkę uśmierzającą ból. Teraz mogę chodzić normalnie. Teoretycznie mogłabym uleczyć się całkiem, ale wymagałoby to ode mnie dużo energii, której teraz potrzebuję jak nigdy. Biorę jeszcze garść jagód i idę w głąb lasu. Wtem słyszę kroki za mną. Obracam się na pięcie i rozglądam się wkoło. Znow coś słyszę, ale tym razem bardziej na kształt szeptów. Teraz odgłosy słychać z prawej strony. Nagle huk. Patrzę za siebie, skąd dochodzi łomot. Coś porusza krzakami. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że to Dziewiątka. Jej darem bowiem jest mimetyzm.

- Wiem, że tu jesteś! Wyjdź i walczmy! – krzyczę w przestrzeń. Tylko Dziewiątka może rzucać bomby kończące, więc modlę się, żeby tego nie zrobiła. Jeśli rzuci, będę mogła spróbować zatrzymać bombę magią. Dziewiątka porusza się, a choć robi to głośno, nie wiem, gdzie jest. Przyciskam plecy do najbliższego drzewa i obracam się wokół niego. Dzięki temu wiem, że nie strzeli mi w tył. A ponieważ Dziewiątka nie umie się wspinać na drzewa, jestem względnie bezpieczna. Obchodzę drzewo dookoła, zewsząd nieokreślone szepty wołają do mnie, zachęcają mnie do wejścia w krzaki. Nie ulegam im, lecz po cichu wyciągam strzałę z kołczanu. Już mam napinać cięciwę, gdy słyszę szelest lecącej przez boisko piłki, po drugiej stronie drzewa. Wypuszczam z rąk łuk i strzałę, zrzucam kołczan, zapominam o tym, by przyciskać plecy do drzewa i w ostatniej chwili łapię... bady! Patrzę na niego, puszczam go i z powrotem skaczę na drugą stronę drzewa, rzucając iskry magii. Wokół niezidentyfikowanego przedmiotu przypominającego jabłko tworzy się otoczka, a rzecz natychmiast nieruchomieje. Odsuwam się od drzewa. Prowokuję. Znow coś leci przez polanę, ale zanim zdąży upaść, muska go mój czar i tak jak jego poprzednik zamiera w bezruchu. Rzucam wiórkami magii na oślep dookoła. W końcu polana przypomina salę po imprezie urodzinowej z minibalonami u sufitu. Ani razu nie zatrzymałam bomby, cały czas te... owoce?! Wzbiera we mnie wściekłość.

- Tak sobie pogrywasz?! – drę się na całe gardło – Bezczelna idio...

Słowa zamierają mi w gardle, rzucając się na brzuch, czuję, jak coś kruszy się w mojej klatce piersiowej. Wyrzucam w górę jeden z najmocniejszych czarów obronnych. Magiczna płachta powiewa nad polaną, a grad niezidentyfikowanych jabłek spada na nią. Puszczają też



mój czar chroniący kostkę przed bólem. Bomba odbija się od przykrywki, podlatuje, spada, spada, spa... Ostatkiem sił łapię bombę czarem unieruchamiającym. Ściągam ją delikatnie na dół, zawijam w liście i trzymając ją przy piersi, oddycham głęboko. To nie koniec. Zdejmuję płachtę, czołgam się do porzuconych wcześniej przeze mnie kołczanu i łuku. Wyglądam zza drzewa, ale po bronii ani śladu. Został tylko kołczan, a w nim liść. Wyjmuję go, czytam wiadomość zostawioną na nim.

„Nikt ani nic NIE MA PRAWA mnie obrażać. Mam nadzieję, że się zrozumieliśmy. To ja mam asy w rękawie i to ja dyktuję warunki gry. I tak zginiesz. Po prostu się z tym pogódź”.

Zalatuje mi liścikiem osoby ze skierowaniem do zakładu dla obłąkanych. Cóż, ja się nie poddam.

- Wyjdź i walcz, strachajło! Każdy idiota potrafi się schować w krzakach. Chodź i walcz! – krzyczę, po czym wskakuję na drzewo. W ostatniej chwili, bo tuż pod moją nogą przelatuje strzała z palącym się grotem. Przypala mi nieco podeszwę, ale nie wyrządza mi krzywdy. Ledwo ruszam rękami przez ból w klatce piersiowej. Wszystko spowalnia niesprawna kostka i szelesty krążące wokół mojej głowy. Siedząc wyżej, widzę więcej. Nie stać mnie już na choć krztę magii. Spostrzegam poruszenie w krzakach na lewo ode mnie. Plan jest prosty: sprowokować, zaatakować, pokonać. Odrywam gałązkę, biorę rozmach i już mam rzucić w krzaki, gdy przeszywa mnie ostry ból, moja ręka niekontrolowanie przechyla się do tyłu, a ja wraz z nią. Wyrzucam patyk w inne miejsce, ale Dziewiątka przez pomyłkę i tak wyskakuje na moment z krzaków, co wykorzystuję. Nie siedzę wysoko, więc zbieram się w sobie, chwytam za sztylet, który wzięłam Ósemce i zeskakuję z drzewa na zdezorientowaną Dziewiątkę. Wiszę okrakiem na jej plecach, przykładam ostrze do jej gardła, ale ona wciąż próbuje się wydostać. Szamocze się jak zwierz w klatce, macha rękami. Wbija mi nóż w łydkę, na co ja wydaję ostry jęk, jednak dalej się trzymam. Pada na kolana, zbiera wszystko, co leży – żołędzie, liście, patyki, nawet jagody i młóci nimi na wszystkie strony. Nawet gdybym miała dobre chęci albo chciała ją szantażować – łuk za jej życie – zanim zdążę na nią choćby wrzasnąć, leżę w kałuży krwi. Wyjmuję sztylet z mojej łydki i odkładam go obok mnie. Wbił mi się w mięsień, ale na szczęście nie przebił kości. Zrywam i przykładam do rany liść pokrwywy. Zostały mi tylko dwa heko. Upstrzony krwią i jagodami drugi sztylet leży na mojej nodze, zabarwiając mi spodnie.

Patrzę na Dziewiątkę. To pierwszy raz, gdy z nią wygrałam. Zawsze przegrywałam, bo nigdy nie chciała wyjść z krzaków. Zawsze widziała we mnie swoją zabawkę. Po chwili jej ciało rozmywa mi się przed oczami, zamieniając się w mgłę, by zaraz ulecieć w powietrze. Wstaję, choć przeszywa mnie potworny ból w lewej kostce. Podchodzę i rozchylam krzaki. Wcześniej tego nie zauważyłam, ale wygląda na to, że pokonałam Dziewiątkę na arenie, której granice ustaliła przyroda. Nowe ogrodzenie rośnie naprzemiennie – jagody, jagożyny, jagody,

jagożyny i tak w koło. Rozglądam się dookoła. Zanim przejrzę cały krąg w poszukiwaniu łuku, padnę z wycieńczenia. „Trudno” – myślę. Muszę gdzieś usiąść i się zdrzemnąć. Muszę też się napić. I coś zjeść. I zebrać energię, by znów otoczyć kostkę. Idę poszukać strumienia, trzymając się daleko od drzew. Specjalnością Dziesiątki jest chodzenie po nich. Na pewno siedzi gdzieś na górze.

\*\*\*

Nie wiem, gdzie jestem. Muszę udać się do strumyka, ale nie mam już żadnej siły na magię, więc nie wykreuję mapy na niebie. Jestem całkowicie wyczerpana. Nic z tego. Przegrałam. Niebo się ściemnia, chmury robią nad nim ciemną, gęstą otoczkę. Las nagle wydaje się straszny. Obcy. Kładę się na wilgotnej ziemi. Bolą mnie żebra, boli mnie kostka, boli mnie głowa. Nigdy nie czułam się gorzej. Powoli zamykają mi się oczy, a ja walczę z sobą, żeby nie zasnąć. Nie skończyłoby to się dobrze, bo mogłabym się obudzić dopiero w normalnym, ludzkim wymiarze. Jak, skoro byłabym nieprzytomna? Obudziłabym się w zielonym korytarzu, a zaraz po zeskoczeniu w dziurę przenoszącą do pierwszego wymiaru, znów bym zasnęła. Stałabym się pośmiewiskiem. A i tak siedziałabym z połamanymi żebrami i skręconą kostką w pokoju. Próbuję się podnieść. Czuję tak mocny ból, że ciekną mi łzy. Zamykam oczy. Opadam na ziemię i chcę włożyć ręce pod głowę, ale jest tylko gorzej. Niespodziewanie czuję uderzenie w twarz. Piecze mnie policzek, cios był tak nagły, że krztuszę się śliną i krwią wypływającą z przegryzionej wargi. Natychmiast otwieram oczy, chcąc zerwać się na równe nogi. Sam ból po nagłym szarpnięciu głową jest zbyt potężny, żeby każdy racjonalnie myślący człowiek próbował się podnieść. Ale ja nie myślę racjonalnie, trzeźwo ani przytomnie. W sumie to w ogóle nie myślę. Mimo obłądnego bólu w każdej części ciała podnoszę się chwiejnie, staję na nogi. Nie mam siły ani chęci na magię. Czary są odrażające. Wszystko psują. Gdyby nie magia, w ogóle by mnie tu nie było! Patrzę na napastnika najbardziej ponurym i równającym z błotem spojrzeniem, na jakie mnie stać. Dziesiątka. Stoi przede mną ze skrzyżowanymi rękami na piersi. Patrzy się na mnie tak, że wybucham histerycznym, niepohamowanym śmiechem. Zagłusza wszystkie inne dźwięki, brzmi jak rechot psychopaty. Z mojego gardła wylewają się kolejne kaskady śmiechu, a Robot stoi w milczeniu i patrzy się na mnie bez śladu zdziwienia czy obawy. Patrzę w jego orzechowe oczy. „Już je kiedyś widziałam” – przechodzi mi przez myśl, ale stwierdzam, że to niemożliwe, bo nigdy wcześniej nie pokonałam Dziewiątki. Przypomina mi tatę. Tylko trochę. Przez te oczy. Muszę gapić się na niego jak sroka w gnat, bo chrząka. Odrywam wzrok od jego tęczywek i wyzywająco patrzę prosto w źrenice.

- Będziesz tak tu stać wieczność? Po prostu mnie zabij. Mam połamane żebra, obita kostkę, cała jestem podrapana, nie mam sił ani magii. Nawet nie wiem, jak teraz stoję. Zabij

mnie, ale szybko. Nie chcę się tam przenosić podświadomie. Chcę tu umrzeć, żeby z pełną świadomością tam pójść. Żeby został na mnie chociaż ślad godności. Żeby mnie nie zlali wiadrem obelg. Żeby nie była nieprzytomna – wyrzucam z siebie wszystko, a kącik jego ust prawie niezauważalnie wykrzywia się w kpiącym uśmiechu. Jego włosy lśnią w słońcu wszystkimi odcieniami brązu, na moich lśni pot. Jego orzechowe oczy wwiercają się we mnie, skupione, rozważające możliwości. Moje – szare, nieobecne, wyczerpane. Przekrwione, całe we łzach i pocie. On – stoi prosto, mięśnie ma napięte, lekko ściska sztylet. Ja – ledwo trzymam się na nogach, próbuję znaleźć pozycję, w której najmniej mnie boli. Też trzymam, ale kurczowo. Nie broń, a młodą wiotką gałązkę, żeby nie upaść. Stoimy metr od siebie. Może rzuci sztyletem. Albo może ma miecz i po prostu mnie nim pchnie. Nie zdobędę amuletu<sup>2</sup>. Trudno.

Zamiast tego odzywa się. Ma niski, miękki głos. Nigdy nie słyszałam, żeby Robot mówił. Owszem, słyszałam ich krzyk, ale sądziłam, że, jeśli mówią, ich barwa głosu brzmi jak u... robota?

- Na pewno tego chcesz? – pyta, jakby nie znał zasad tej paranoi.

- A nie takie jest twoje zadanie? Zabić mnie lub pozbawić hek, których, swoją drogą, mam tylko dwa? – rzucam zdziwiona, że nie zaatakował.

- Owszem, ale jesteś dopiero czwartą potomkinią, która pokonała Dziewiątkę. Należy ci się w pewnym stopniu pewien szacunek, czyż nie?

- Może i tak, co jednak nie zmienia faktu, że właśnie się poddałam, bo jestem na wpół żywa. Jestem też uodporniona na obelgi i poniżenie, więc jeśli chodzi ci o to – nie musisz się obawiać. Po prostu nie udowodnię im, że na coś mnie stać. Jestem pewna, że to pierwszy, ale i ostatni raz, kiedy pokonałam Dziewiątkę. Ale takie jest życie

- Słuchaj, jestem Robotem, owszem. Ale jestem najmądrzejszym i, nie chwaląc się, najlepszym z mojej rasy. Pozostali mówią na mnie Robot z ludzkim sercem, bo ja trzy razy się zastanawiam, zanim kogoś zabiję. Wam, ludziom, bardzo łatwo przychodzi zabijanie. Oczywiście nie wszystkim, ale dużej liczbie. Jesteście bezwzględni, okrutni. Manipulujecie się nawzajem, pociągacie tak za sznurki, żeby było po waszemu. Oczywiście nie znam was na wskroś, ale coś tam o was wiem... nie pytaj! Mam swoje sposoby. Chcecie, żeby inni traktowali was z szacunkiem, a sami traktujecie ich jak błoto. Nie kręć głową, wiem, co mówię. Ty się ze mną podświadomie zgadzasz, ale nie chcesz tego przyznać przed samą sobą. Tak, ja też

---

<sup>2</sup> Amulet Dziesiątki – to on pokazuje, że wygrało się z Dziesiątką (czyli ze wszystkimi robotami) – Robot ten ma zawieszony na szyi amulet. Żeby mu go odebrać trzeba zabić Dziesiątkę i wziąć amulet. Dopóki żyje, tylko on (Dziesiątką) może go zdjąć. UWAGA: Teoretycznie można je wręcz kolekcjonować, bo za każdym razem Dziesiątką ma nowy.

zabijam, taka moja rola. Zauważ – ja po to zostałem stworzony; wy – niekoniecznie. Po co ci to mówię? Nie po to, żeby wzbudzić w tobie jakieś poczucie winy, że, no nie wiem, jesz mięso. Bo to naturalne. Chodzi o to, jak wyhodujesz, a potem zabijesz to zwierzę. Och, domyśl się, to przenośnia. Współczuję ci, rozumiesz? Najzwyczajniej w świecie.

- Nie! – przerywam. – Właśnie nie rozumiem! Ty nie masz mi współczuć! Jesteś po to, żeby mnie zabić. Na tym polega ta paranoiczna gra! Poza tym nie lubię współczucia. Jest żalosne. I poniżające!

- Widzisz? – odzywa się spokojnie, co tylko podnosi mi ciśnienie. – To jest filozofia ludzkości. Współczucie jest żalosne, okrucieństwo też, a jedno i drugie odczuwacie i robicie. To naturalne. A cała paranoja tej, jak to nazwałaś, gry, jest w tym, że wymyślił i zaprojektował ją człowiek. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Nie no, świetnie! Masowy Robot-morderca mówi, że mi współczuje, więc mnie nie zabije, mimo że takie jest jego zadanie. Albo to ja jestem obłąkana, albo nie wiem co. Jeszcze mi będzie prawili wywody z filozofii. Robot-morderca!

- Nie! Czy możesz mnie wreszcie zabić?! – krzyczę, a słysząc, co powiedziałam, znowu zaczynam idiotycznie rechotać.

- Jak sobie Wasza Wysokość życzy – drwi. – Zabiję cię, skoro tak ci zależy. Szybko. Ale przed tym dam ci to.

Nie wierzę. No po prostu mam zwidy. Po powrocie poproszę lekarza o skierowanie do zakładu zamkniętego. Jestem obłąkana. Osuwam się po gałązce na ziemię. Pot szczypie mnie w liczne zadrapania na twarzy. Dziesiątka rozpina górny guzik koszuli i wyjmuję... amulet. Boże. Kładę się na ziemię, płacę przy tym z bólu w żebrach. Robot przykłada mi rękę w miejsce żeber. Nareszcie. Już myślałam, że da mi ten medalion, ale on wreszcie mnie zabije... Nie! Zamiast tego czuję przepływającą magię przez klatkę piersiową i... chyba swoją magią naprawił mi żebra. Ledwo patrzę na oczy, czuję, jak opuszczają mnie ostatnie siły. Wydaję z siebie jęk, który miał być telepatycznym „dlaczego?”. Chyba nie zrozumiał. Nic nie mówi. Podnosi delikatnie moją głowę, zakłada mi na szyję amulet i wyciąga zza pasa sztylet.

- Dzię... Dziękuję – wyduszam z siebie.

- Proszę bardzo. Nazywacie to zachowanie ludzkim. Trochę ironicznie. A tak w ogóle, to nazywam się Roan – odpowiada, wbijając mi sztylet prosto w serce, zgodnie z moim życzeniem.

\*\*\*

Leżę na łóżku, opierając nogi o ścianę. Czytam książkę, zaglądając na zegarek. Dzisiaj są moje urodziny. Moja mama, choć dalej zazdrosna, przywitała mnie z aparatem w ręce, gotowa do robienia zdjęć, gdy wróciłam brudna, ranna i z amuletem na szyi. Do teraz pęka z dumy, gdy o tym mówi, a dzisiaj pierwszy raz stwierdziła, że upiecze mi tort urodzinowy i że zjemy go razem przy filmie. Pilnie potrzebny zakład dla obłąkanych! A tak na serio – jestem naprawdę zadowolona, że mama nabrała do mnie trochę respektu i zobaczyła, że coś umiem.

Zawsze, gdy patrzę na amulet wiszący na honorowym miejscu na ścianie, przypomina mi się Roan i to, co mówił o ludziach. Może trochę się z nim zgadzam. Tylko trochę. Ociupinkę. Minęły dwa tygodnie, odkąd Robot podarował mi amulet. Od tego czasu byłam tam dwa razy, ale do tej pory nie udało mi się pokonać Dziewiątki, która stała się dużo ostrożniejsza po ostatnim wydarzeniu.

- Leah! Chodź na ciasto! – słyszę wołanie z kuchni, która graniczy ścianą z moim pokojem.

- Już! – odkrzykuję i powoli zbieram się z łóżka. Zdejmuję słuchawki, wkładam zakładkę do książki i podchodzę do amuletu. Jest wykonany z drewna z wrytym „10” na środku. Po drugiej stronie, szybką magią, wryte jest: „Od Roana. Nie zapomnij i odwiedź mnie jeszcze”. Jest osłonięty magiczną płachtą, która powoduje, że wiadomość może zobaczyć tylko jej prawowity odbiorca. Przesuwam ręką po lnianym sznurku, na którym wisi medalion. Patrzę w głęboki brąz mahoniu. Och, niech się chłop o to nie martwi. Ja nie zapomnę. Kiedyś wrócę. Obiecuję.